

PODRÓŻ DO KLASZTORU ŚW. ONUFREGO W DNIU JEGO ŚWIĘTA (24/25 CZERWCA, GDY SCHODZI SIĘ TAM MNÓSTWO NARODU)

Szliśmy wśród traw. Dość szybko. Gęsiego, bo ścieżka była wąska. Czasem parami i ktoś szeptał wtedy do sąsiada. Autobus z Gardzienic dojechał do końca wsi N^{xxx} i tu droga się kończyła. Ostatnie pęknięte skorupki asfaltu, krzywy słupek ostatniego przystanku PKS, gdzie na zarzewiałej tabliczce nie było już widać „rozkładu jazdy” i dalej już nic, stąd nie jedzie się donikąd. Jest późne popołudnie. Zbliży się szary zmierzch. I tylko ta ścieżka ukryta wśród łąk, co zaczyna się za ostatnią chatą — jeszcze prowadzi. Znałem ją od dawna. Zimą też przeddeptana; przez ludzi, którzy idą na święty Jordan do Klasztoru, przez kobiety, które ze wsi niosą na Paschę pisanki, żeby je oświecić w cerkwi. Trzeba trafić na mostek w zaroślach przez ciągnące się tu rozlewiska Bugu, a potem do starych dębów nad stawem przy Klasztorze. W jednym z tych dębów żył podobno kiedyś nieznanymi dziś nikomu święty pustelnik. Jest to jedna z dróg, ze ścieżek, które znam, wiodących do Obiteli — „mieszkania” św. Onufrego. Zwykle chodzi się groblą, co od wsi J^{xxx} schodzi ku niskim łąkom, które wiosną czasem zalewa Bug. Grobla też poprzerywana przez rwące wtedy boczne koryta rzeki. Powoli kończą się na niej ostatnie chaty, krowy, które tu wyganiają na wypas na całe pół roku patrzą na ciebie; wiosną i latem bociany i czajki nad przebyskującą wśród trawy wodą moczaru — wychodzą jakby na spotkanie. Zimą kreski płóz zawiewa śnieg, wiję się przy ziemi. A ty idziesz: w dzień prosto na daleką kopułę cerkwi, a w nocy na ostatnie światełka świata, a potem w ciemną drogę, którą tylko rozpoznasz stopami aż do wielkiego dębu, który tu trwa i jest, przy bramie, za którą światła w oknach domków klasztornych i światła lamp oliwnych przed ikonami w cerkwi. Potem na kuchni zmarznietemu zupa, paruje i pachnie olejem.

Chadza się więc i groblą. Ale dziś „złe” na niej i nie można. Idziemy więc inaczej, przechytzamy „złego”, który zamyka dostęp, znajdujemy ścieżkę, która „prowadzi”. Idziemy wśród traw. Coś w plecakach i węzłkach wzięliśmy jeszcze z autobusu. Były już kłopoty z wyjazdem, jakieś skrzynki, których nie było, jacyś biegający uczestnicy, którzy ciągle znikali, krzątani, autobus jakby nie mógł ruszyć z miejsca. Spokojnie siedzi Ojciec Richard Lawrence, proboszcz murzyńskiej wspólnoty w Baltimore, jakby z uwagą — czeka. W końcu wyjechaliśmy. Wsie, żyto stało wysokie. Trzeba skręcić nie według drogowskazu, trafić na tę właśnie ukrytą drogę i nią aż do tego ostatniego słupka. Teraz rozbieramy coś z tych skrzynek; oranżada — nieoranżada... Nie szkodzi. (Opowiadano mi, jak kiedyś, po okupacji biskup Michał — mój ojciec chrzestny, dlatego mi opowiadano — wioził furmanką jakieś talerze do Klasztoru. Zima, noc ich zastała po drodze, sypie tumanem, ani rusz dalej. Złazł Biskup z fury, włożył talerze do plecaka i dalej poszedł sam, przez zaspy i na północ doszedł. Mógł wtedy w ciemności słyszeć w duszy modlitwę Wielkiego Postu (bo Post się zaczynał):

Pomocznik i pokrowiciel'
byst'mnie wo spasjenije...
(Pomocnikiem i opiekunem
byłeś mi w zbawieniu)

i dalej głos wewnętrzny:

Odkąd zaczęę oplakiwać
opętanego mego życia uczynki;
I jaki położę początek tego płaczu...?

(— który rośnie w duszy, który coś we mnie budzi i zaczyna).
— Tak śpiewając idą mnisi z cerkwi do celi umierającego brata. Panuje jakaś radość, jakby święto choć to śmierć się zbliża).

Idziemy więc coraz dalej wśród tych traw. Anna i Iga jakby skuliły się w sobie i zaczynają pieśń. Władek zagrzewa.

Iżę chieruwimy — tajno obrazujuszcze...
(My, którzy tajemnie sobą przedstawiamy cherubinów...)

Lecz jakoś nie idzie, nie rozlewa się śpiew, pod szarym ciemniejącym niebem. Zbliżamy się do trudnej strefy. Trudno jest „osiągnąć pustynię”. Wszystko tu naokoło śpiewa o św. Onufrym:

Żelanijem duchownym
pustyniu dostigł jesi
bogomudrie Onufrije;
i jako bezplotiem w niej mnogolietnie
podwizałsja jesi toubolubnie...
(Pożądaniem duchowym
doścignąłeś, osiągnąłeś pustynię
o roztropny Onufry;
i jakby bezcielesny — w niej wieloletnie
dzieło podjąłeś z umiłowaniem trudu...)

Już widać bramę i — od razu — gromadzące się na święto tłumy pątników, samochody, autokary, furki, motocykle... Przechodzimy wielkie wrota — a jakaś inna grupa pielgrzymów, właśnie przybyła, śpiewa:

Nieprochodimaja wrota
tajno zapieczastwowannaja
Bogorodice Diewo...
(O, wrota nie do przejścia,
tajemnie zapieczętowane,
Bogurodzico Diewico...)

Przechodzimy więc przez wrota. Na dziedzińcu pozdrowienia. Trochę zapobiegliwej krzątani. Szukano kąta dla Ojca Lawrence'a. W drewnianym domku pełno ludzi. Ktoś w rogu leży na podłodze na rozścielonej chuście. Tak, jest już łózko dla Ojca: skromny i cichy, zawsze prosty jak struna brat Eugeniusz daje na to swoją celę. Ojciec Lawrence zresztą podobno zmylił wszystkich swych „opiekunów” i nie tknął łózka ani na chwilę.

Ale wchodzimy do cerkwi, która ptonie ogniami i śpiewem w środku okrągłego dziedzińca, okolonego białym murem. Za tym murem już ciemno, stoi cichy sad, który przechodzi dalej w wielkie łąki i dotyka milczących stawów (tam pójdziemy potem). Stamtąd przychodzą pod cerkiew drzewa, powiewy od rzeki i noc. Do cerkwi ledwo można się wcisnąć na próg. Trwa „całonocne czuwanie”.

Spodobi Gospodi w wiecier szej
b'iez gri'echa sochronitisja nam...
(Uczyni nas godnymi, Panie, abyśmy
tego wieczoru uchronili się od grzechu...)
Chwalitie Imia Gospodnie, alliuja,
chwalitie rabi Gospoda —
Alliuja, alliuja
Błagostawien Gospod ot Siona
Żiwij wo Jerusalmie —
Alliuja, alliuja, alliuja...)

Oto wychodzi procesja ze światłami i Ewangelią. Wśród tłumu, który go ledwo może przepuścić, Władka okadza całą cerkiew. Tymczasem chóry skandują dramatyczną pieśń:

Angiel'skij sobor zdiwisja
zrja Tebe w miertwych wmieniwsja
smertnuju — że, Spasje, krepost' razoriwsza...
i ot ada wsja swobożdsza
(Anielski sobór oniemiał
widząc Ciebie przyłączonego do martwych!
Lecz śmierć bastion, Zbawicielu, rozbijając
z otchłani wszystko wyswobodziłeś)

Naokoło cerkwi spowiedź. W ciemnych załomach ścian, od zewnątrz postawiono stoliki z krzyżami. Ciemne postacie księży zgarbione nad głowami spowiedników, którzy szeptem coś wyznają. Ludzie stoją w ciemności, pod drzewami, schylają głowy w koleje do księdza. Ktoś płacze.

Po skończonej służbie ludzie zalegają dziedziniec, przycupują gdzie się da w cerkwi i grupkami zaczynają śpiewać pieśni, ale już inne, nie te z kanonu liturgii, nieco zbyt złożone w swej bizantyjskiej metaforyce, sposobie wyrażania subtelnych myśli, nieco zbyt wyszukane i trudne językowo — lecz te prostsze „domowe” pieśni religijne, przyniesione z chat i z dzieciństwa, wyrażające smutek życia i prostą wiarę, nieco sentymentalne, wysuplane wraz z grosikami na świeczki ze starych śpiewników. To zanikają to znów budzą się w innym kącie cerkwi lub podwórka

Pred Toboju moj Boh
je zatieplju swieczu...
(Przed Tobą mój Boże
zapalę ciepły płomyk świecy)

A do ikony, tej, do której tu wszyscy przyjechaliśmy, ciągle podchodzą sznurem ludzie. Czekają na swą kolej i wtedy każdy ma swój krótki moment, „przylega” („przykładywajetsja”, „pripadojet”) do niej całym ciałem, czołem, ustami, dłońmi, nisko, nisko się kłania, zęga i po cichu odchodzi. Wielu stawia świeczki. Słychać tylko szelest kroków i pokłonów. W duszach brzmi

Priepodobnie otcze nasz Onufrije
moli Boga o nas!

Teraz i my odchodzimy. Przez furtę w murze do sadu. Zbieramy się na pasiece, wśród śpiących uli przed chatką ogrodnika („...a ona myślała, że to ogrodnik...”). W wysokiej trawie zapalamy kilka świec. Teraz ta noc wpuszcza, wprowadza nas głębiej w siebie. Nieco bardziej dosiegamy „pustyni”. Tu, w tym sadzie jest jakiś kres, przebiega jakaś tajemna granica i czujemy, żeśmy jej dotknęli. Mnisi, gdy się już zdecydują by ją przejść, śpiewają:

Objęcia ojcowskie pośpiesz mi otworzyć,
gdyż obłędnie wyczerpałem moje życie.
Na niewyczerpywalne bogactwo darów Twoich patrząc
wzywam ze skruczą, byś nie przeoczył teraz
moje zubożałe serce...

Skrucha, wzruszenie serca („Duszo moja, duszo moja, powstań, czemu śpisz?! Koniec się zbliża...”) podprowadzają, jak sekretny przewodnik do ukrytej łódki, do tej „granicy”. Słychać, ktoś tu ciągle płacze, ktoś z nas...

Czytamy słowa Ojców:

„Zapytał brat starca, mówiąc: Jak to się dzieje, że dusza rozkoszuje się żądzami?” Odpowiedział: „Wprawdzie dusza rozkoszuje się żądzami, ale Duch Boży ogarnia ją. Trzeba zatem oplakiwać i bacznie śledzić, co w nas nieczyste... Jak Marii, gdy skłoniwszy się nad grobem płakała, zaraz objawił się Pan... tak dzieje się z duszą, gdy tylko miłuje lzy”. Bo mówił starzec o płaczu skruczy, że jest drogą jedyłą, drogą do wszystkich rzeczy:

„...samo bowiem Pismo Święte jest płaczem... i nie ma innej drogi do życia, jak właśnie ta”.

„Abraham, gdy wszedł do ziemi obiecanej, najpierw zakupił, sobie grób”. I zapytał brat starca: „Co to jest grób” I odrzekł: „Jest miejscem płaczu i żalu”.

Trzeba się więc na nowo narodzić (...jak mówił Pan do Nikodema) — lecz by na nowo się narodzić, starzec podsuwa, że trzeba najpierw „umrzeć”. Przypominamy co wyznał Awwakum: „Ja zaś, gdy pewnego razu ujrzał w sąsiedztwie martwe zwierze, powstałem z łóża tejsze nocy i wielom przed obrazem płakał nad duszą swoją rozmyślając o śmierci, że to i mnie przyjdzie umrzeć, i od tego razu przywykłem modlić się co nocy”.

Czym jest noc? Jest modlitwą. Modlitwą świata, gdy zacicha jasność dnia. I dlatego też noc jest pasją, bo jest sferą otwartą na wszystkie duchy. Mnisi więc zawsze w nocy czuwają (wsienoszcznoje bolienije), otwarci na jej siłę. Rozbity zostaje przy tym „normalny” rytm czasu i fizjologii, przyjmuje się na siebie inny „schemat”. To rozluźnienie i rozbitcie w nas jakby skorupy to

początek pokuty, metanoi, „przestawienia” na inną drogę, drogę pielgrzyma.

(Anna przycupnęła w trawie u nóg Ojca Lawrence’a i szybkim szeptem tłumaczy na angielski skupionej grupce...)

Noc jest więc walką i modlitwą jest wielką. Rzekł starzec: „Jakże inaczej może się pokazać człowiek, który miłuje Boga, jak nie podczas napaści szatana?”

i rzekł dalej:

„Muchy nie zbliżają się do rozpalonego pieca, obsiadają natomiast letni. Tak też od mnicha rozpalonego ogniem Ducha Bożego uciekają szatani, natomiast kpią sobie z letniego”.

I tak otwierają się drzwi pokory:

„Zapytał brat starca, mówiąc: „Jak dusza może przyjąć pokorę?”

Odpowiedział: „Jeśli zawsze bada w sobie zło”. I rzekł znów starzec: „Nie jest mnichem ten, kto drugiego osądza... lecz prawdziwym jest ten, kto jest pokorny i uciszony, pełen miłości i zawsze ma bojaźń Bożą w swym sercu”. I po tych słowach rzekł starzec:

„Pielgrzymowaniem jest milczenie”

I gdy to usłyszeliśmy, wstaliśmy i w milczeniu odeszliśmy — przez sad i ciemne zarośla — na drugi brzeg jeziora, co przy klasztorze. Tam odbity w czarnej tafli stawu płonął już ogień rozpalony przez Mariusza i Tomka. Legliśmy teraz w śpiworach przy ogniu miopiąc się jak można razem. I tu znów wesoły widok: ci co mieli „dyskretnie” opiekować się Ojcem Lawrence’em próbują mu coś nieznacznie podłożyć. Ale on, tanecznie spacerując wśród różnych derek, kolderek, worków i śpiworków zrecznie je wyminął i z satysfakcją zwałił się całą swą zwałistą postacią w czarnym surducie wprost na wilgotną trawę i patrzy z uśmiechem. Nad nami wielkie dęby. To tu żył kiedyś pustelnik. Trochę śpiewów rozluźnia zmęczenie. Zacichamy, ogień przygasa i podchodzi sen, a noc ciągle obraca zwolna gwiazdy. Świt chyba nie szybko. Śpiemy.

*
*
*

Bardzo głębokim świtem, gdy myśmy jeszcze spali, rozległy się nagle dalekie dzwony i odgłosy śpiewu. Zerwaliśmy się i szybko poszli do bramy klasztoru, skąd z chorągwiemi i świecami, za krzyżem św. wychodził już pochód na nadrzeczne łąki, gdzie na pagórku, na samym brzegu rzeki stoi cerkiewka — „czasownia”. Mijamy stare wierzy, słupki granicy rozstawione wzdłuż brzegu, kluczymy wśród moczarów kierując się na płonąca już ogniem świec w dali cerkiewkę.

Żelanijem duchownym pustyniu
dostigł jest, bogomudrie Onufrije...

Stajemy tłumnie na stoku pagórka, u podnóża drewnianej kaplicy. Tam mieści się tylko ołtarz, przy którym teraz Biskup w otoczeniu liczego duchowieństwa odprawia świętą liturgię. Za plecami ostatnich ludzi stoją drzewa, po łące kroczą bociany, krowy obudzily się, przeleciała cicho szapla. Trzymamy świeczki, a na niebie, pierwsze różowe blaski świtu.

Błogosławieni ubodzy duchem
jako tych jest Królestwo niebieskie,
błogosławieni płaczący
jako że ci będą pocieszeni
błogosławieni cisi...

Tam za rzeką stoją ciche, wielkie drzewa. Na brzegu nikt się nie pojawi. Między nami i nimi — rzeka cicho i wartko płynie. Szary nurt. Świt jeszcze nie jasny. Śpiew:

Iže chie-ru-wi-i-my
tajno o-bra-zu-ju-szcze...

Nagle jakiś poseł ze świata — obiega nas, daje znaki. Odchodzimy śpiesznie. Autobus, zbiórka. Silnik, odjazd. A tam ludzie śpiewali właśnie:

Ws jakoje nynje żytienskoje
otłozym popieczenije...
(Wszelkie teraz życiowe
odłóżmy troski...).